

Władysław Konopczyński: Do kogo nie przemówi ten z epopei hetman-król?

Trudno o bardziej dobitny przykład ograniczoności sił jednostki wobec bezwiednego ciężenia mas, jak panowanie Sobieskiego. Poprzednicy i następcy: Batory, trzej Wazowie, dwaj Wettyńczycy mieli utrudnione opanowanie duszy polskiej przez swoją cudzoziemskość, on miał odczuć łańcuch obezwładniający właśnie w swym pokrewieństwie z wyborcami – pisał Władysław Konopczyński, jeden z najwybitniejszych polskich historyków XX wieku w książce „Od Sobieskiego do Kościuszki”. Jego tekst przywołujemy w „Teologii Politycznej co Tydzień”: „Jan III Sobieski. Rzeczpospolita zwycięska”.

Złotymi promieniami słońca, znikającego pod nawałą chmur, świeci ku nam z przeszłości postać najpopularniejszego bohatera Starej Polski, tak zrozumiała dla nas i bliska, a tak silnie owiana smutkiem zachodu – smutniejsza, niż Władysław IV, co umierał u progu ruiny, niż Jan Kazianierz, co zrzucił z siebie męczeńską koronę, niż Wiśniowiecki, co nie dorósł do wielkiego bólu. Do kogo z nas, Polaków, w wieku młodocianym, nie przemówi ten z epopei hetman-król, Polonus pancerny, wąsaty, kontuszowy i tak cudnie kolorowy, kogo nie oczaruje chrzęstem zbroi, skinieniem buławy, wiewem rozpostartych sztandarów, furkotem tysięcznych piór husarskich? Kogo z nas, dojrzałych, nie wzruszy choć na chwilę liryzm jednej z najtkliwszych miłości, jakie tylko zna historia serc polskich? Kto z najdojrzałych badaczy nie przejmie się tragizmem opadnięcia orlich jego skrzydeł po górnym locie?

Tragedia tam była, ale w duchu naszym, swojskim, nie na modłę zagraniczną. Tragedia rozluźnienia raczej, niż śmiertelnego naprężenia. Bez samobójstw i skrytych mordów, bez trybunałów podziemnych i piramid czerepów ludzkich, bez stosów i gilotyn, wolna od krwawych carów i srogich kardynałów, od inkwizycji i septymbryzacji, od wewnętrznych głębokich rozłamów, bez wyzywania piekieł i spoglądania oko w oko przeznaczeniom, wycofawszy się z wielu zagadnień ogólnoludzkich, spalana ogniem pospolitszych domowych żądź, staczała się w przepaść dawna Rzeczpospolita, bo zbrakło w niej sił do zadania samej sobie zbawiennego gwałtu, któryby oczyścił ją ze zgangrenowanych soków i usunął tym źródło bezwład. W życiu indywidualnym Sobieskiego nie widać też zwykłych narzędzi Melpomeny, ale los go wywyższył ponad byt prywatny, uczynił go protagonistą na widowni społeczno-narodowej, a klęska i żałoba uwieńczyły jego rolę królewską.

Jeżeli on nie zdołał, to któż mógł w owym pokoleniu ocalić Rzeczpospolitą?

Bo on był naprawdę *primus inter pares*, stał najbliżej majestatu z najlepszych synów ojczyzny. Gdy ujrzał światło dzienne w Olesku, zamku na wysokiej górze, dnia 17 sierpnia roku 1629, pioruny biły na niebie, a chmura tatarska zalewała okolicę. Dziecię nosiło w żyłach waleczną krew dziada Marka, wojewody lubelskiego, żołnierza Batorowego, krew ojca Jakóba, kasztelana krakowskiego, wojownika, parlamentarzysty i dyplomaty, oraz pradziada w linii macierzystej, hetmana Żółkiewskiego. Pani kasztelanowa Teofila z Daniłowiczów Sobieska, bogobojna i gospodarna wnuczka bohatera spod Cecory, wpoila synom, Markowi i Janowi, zasady spartańskiego patriotyzmu.

Rozumny kasztelan, człowiek wysokiej kultury umysłowej, przeznaczwszy synów do zawodu politycznego, nie zaniedbał niczego, aby ich wszechstronnie wykształcić – oczywiście według miar i wymagań epoki, naprzód w domu, potem w Akademii krakowskiej (1640–1646), na koniec w podróżach.

Z Akademii wyniósł Jan nieprzytłumione scholastycyzmem zaciekawienie do wiedzy, zarówno ścisłej, jak filozoficznej. Zetknął się później z pismami Kartezjusza, Gassendiego, Arnauda, niemniej z Galileuszem, Harveyem, Heweliuszem. Lepiej atoli zasmakował w literaturze pięknej, na której wydoskonalił sobie wielką moc ekspresji ustnej i piśmiennej. Nauczył się wypowiadać bogato, jędrnie, bogatą skalą swych myśli i uczuć, nie wyłączając tych najboleśniejszych, od których pospolitsze usta niemieją. Z ławy uniwersyteckiej pojechali młodzieńcy oglądać wyższą kulturę świata romańskiego i germańskiego (1646). Napatrzili się na zamożność Anglii i świetność Francji, na doskonałe fortyfikacje holenderskie i sprawne obroty Szwedów Torstensoną. Później, po śmierci brata poległego na Batohu (1652), młodszy kasztelanic zwiedził Sztambuł, stolicę potęgi tureckiej, a pośród Słowian południowych odczuł tętno ich marzeń o wybiciu się z niewoli przy pomocy Polski.

Od tych dwóch szkół, teoretycznej i spostrzegawczej, cięższą okazała się trzecia, szkoła życiowa w kraju. Sobieski, chociaż nie żaden nabab ukraiński, należał bądź co bądź do tej setki uprzywilejowanych, co mogli własnym kosztem utrzymać pułk żołnierzy. Drogę do zaszczytów miałyby przy swych zdolnościach otwartą i prostą, gdyby podówczas droga młodzieńca, zawsze nieznaną, jak szlak orłowy lub węzowy, nie była już niepomierni pokręcona dzięki wzmagającemu się rozkładowi Rzeczypospolitej. Najpierw, w latach potopu (1655), kiedy Jan

Kazimierz tułał się za granicą, służba wojskowa zaprowadziła młodego Sobieskiego do obozu Szwedów. Nie był to jego grzech wyłączny, mało kto wówczas nie dopuścił się odstępstwa. Jedynym też skutkiem półrocznych jego błędów było dobre zaznajomienie się z rolą piechoty i lepsze nadal używanie jej w bitwach, niż to czynił którykolwiek z dawniejszych hetmanów.

Gorzej powikłały się losy młodzieńca po nominacji jego na chorążstwo koronne (1656), kiedy dwór królewski próbował wyzyskać ciężkie doświadczenia i przekształcić nierządną Rzeczpospolitą w dziedziczną monarchię na wzór Francji, lub przynajmniej kupić dla francuskiego księcia następstwo tronu za francuskie pieniądze. W jedną stronę ciągnęła Sobieskiego królowa Ludwika Maria, w drugą, przeciwną — towarzyszył jej Broni, słynny ze zwycięstw Lubomirski; w jedną rozum polityczny, w drugą moc odziedziczonych instynktów polskich; tam, przy boku królowej, znalazła się światlejsza, ale zepsuta korupcją mniejszość, tu — zaślepiony, lecz uczciwszy ogół społeczeństwa; tam senat, tutaj brać sejmikowa, w dodatku — tam obce przekupstwo, tutaj rokosz i zdrada stanu.

Którakolwiek zresztą strona miałaby przeważać, Ludwika Maria zastawiła na krewkiego, dorodnego mężczyznę nie lada przynętę w postaci swej wychowawicy, Marii Kazimiery d'Arquien. Nie od razu zaznał pan Jan całej potęgi tego magnesu; stało się to poniekąd ponieważ, bo już po zamęściu Francuzki (1658) z Janem Zamoyskim, wojewodą kijowskim, a potem sandomierskim; niemniej wabik podzielał mocno, bo przykuł Sobieskiego do sprawy francuskiej na długie lata; dla dobrej sławy jego okazał się niebezpiecznym, bo obniżał go najpierw w opinii szlachty, jako uwodziciela cudzej żony, później o mało nie doprowadził do ekspatriacji; na ogólny rozwój jego

sił duchowych wpływał z początku dwuznacznie, w końcu nader szkodliwie. Dnia 12 lipca 1666 r. [tak Konopczyński, według ówczesnego stanu wiedzy: w rzeczywistości 14 maja 1665 r. – red.] Sobieski związał się dożywotnio i nieodwołalnie z owdowiałą Marysieńką, niegodną wybranką, opromienił ją swoją sławą, sam uległ naturalnemu zaślepieniu na widok różnych „śliczności” jej ciała: nie przestał jej kochać nigdy i nawet w najgorszych chwilach zawodu z dziwnie szerokim, choć za to może mniej męskim uświadomieniem swej roli wróżył sobie dobrą śmierć, „z tą przynajmniej na potomne pochwałą wieki”, że był nad wszystkich, co będą na świecie „le plus passionne amant et le plus fidele et le plus amoureux mari” [najbardziej namiętnym kochankiem i najbardziej wiernym i kochającym mężem].

Istotnie zyskał tę sławę, lecz kosztem znacznej części pośmiertnej sławy bohaterskiej, bo z dużą utratą sił na szamotania wewnętrzne. W oczach ogółu najwięcej stracił zrazu dzięki swej francuzomanii. Uczestniczył w zemście Ludwika Marii nad Lubomirskim, brał po nim kolejno wielką łaskę (1665) i małą buławę koronną (1666), ale w wojnie domowej spisał się nietęgo; później przez cały czas panowania Michała Wiśniowieckiego, już jako hetman wielki koronny (od dnia 5 lutego 1668) stał w opozycji przeciwko elektowi byłych lubomirszczyków. Opozycja ta, w nienajgorszym podjęta towarzystwie, bo łącznie z oświeconą częścią magnaterii, i nie dla lichej prywaty, bo obciążona niepopularnością i stratami materialnymi, nie zjednałaby przecież nigdy Sobieskiemu życzliwości szlachty, gdyby się nie zdobył na własne, pozapartyjne, wielkie dzieła wojenne.

Kiedy wrogowie szarpali mu dobra i reputację, on wolał organizować obronę Ukrainy, odpierać Tatarów pod Podhajcami (1667), jeździć na karkach pohańskich od Braclawia do Batołu, zdobywać Mohylów i

Kalnik, rozkuwać kajdany, gasić pożogi, aż wywalczył dla narodu pod Chocimiem (11 października 1673) odwet moralny za utratę Kamieńca i wzlot na wyżyny posłannictwa dziejowego. Sobie wywalczył odpuszczenie win rokoszowych, i za jednym zamachem – królowanie nad sercami milionów.

To, co się potem stało w zwykłych warunkach realnych, nie bez zabiegów kandydackich i intryg cudzoziemskich, nie bez podszeptu Marii Kazimiery, słowem, formalny akt elekcji Sobieskiego na króla zunizowanej Rzeczypospolitej (6 czerwca 1674), było już tylko zewnętrznym uświęceniem tamtego podboju duchowego.

Złożył buławę, ujął berło Jan III: w którą stronę skinie prawicą, gdzie poprowadzi swój naród? Co jest do zdobycia i jakich zdobyczy naród potrafi zapragnąć?

Trudno o bardziej dobitny przykład ograniczoności sił jednostki wobec bezwiednego ciężenia mas, jak panowanie Sobieskiego. Poprzednicy i następcy: Batory, trzej Wazowie, dwaj Wettyńscy mieli utrudnione opanowanie duszy polskiej przez swoją cudzoziemskość, on miał odczuć łańcuch obezwładniający właśnie w swym pokrewieństwie z wyborcami. Z początku pojął królewskość jako przywództwo nad swobodą w ofiarnej służbie dla kraju; w pierwszej mowie tronowej, nazajutrz po obiorze, nazwał siebie „prostym szlachcicem”, obranym „z życzliwej woli swobodnego i tym samym prawowicie władnego narodu”.

Rządzić owym narodem w ówczesnym stanie jego błędów i dezorganizacji potrafiłby chyba jakiś wymarzony, nieznany w dziejach geniusz. Panować, jaśnieć majestatem, przewyższać innych o całe niebo można było w oczach pomniejszej szlachty, dla której i obiór Sobieskiego i jego czyny wojenno-polityczne były czymś niewspółmiernym z siłami jednostki prywatnej. Ale królować magnatom, byłym kolegom, nieraz bogatszym, starszego pochodzenia Wiśniowieckim, Lubomirskim, Pacom, Radziwiłłom, Sapiehom nie mógł żaden wybraniec Piast. Toż pamiętano go równym, nawet mniejszym, niemal parweniuszem, kolegowano z nim w intrygach, rokoszach, staraniach o dobro powszednie, rozumiano i przenikano całą jego naturę przedkrólewską – skąd tam w oczach magnatów zazdrośników miał się znaleźć majestat? Cóż dziwnego, że potem i Ludwik XIV odmówił tytułu „Majestatu” królowi, który jak każdy elekt był władcą niższego rzędu w porównaniu z jego dziedziczną purpurą?

Ta słabość wewnętrzna podcięła moc Sobieskiego w walce z trudnościami zewnętrznymi, zwłaszcza z zakorzenionym już w Rzeczypospolitej wpływem rywalizacji dynastycznej Bourbonów i Habsburgów. Spróbował najpierw pójść za głosem tej racji stanu, w której wzrastał od młodości, a która kazała szukać punktu oparcia w państwach dalekich, jak Francja, i w jej sojusznikach przeciwka opasującym Rzeczypospolitą coraz groźniejszym potęgom Austrii, Brandenburgii i Moskwy. W czerwcu 1675 zawarł tedy z Ludwikiem XIV w Jaworowie traktat przymierza zaczepno-odpornego przeciw elektorowi brandenburskiemu. Po upływie roku przy współdziałaniu Francji stanął rozejm żurawiński z Turcją (1676), a po dwóch latach podpisano w Gdańsku alians ze Szwecją.

Bezpośrednio zmierzał cały ten system do zdobycia Prus elektorskich, pośrednio godził w zaprzyjaźnione z Hohenzollernami Austrię i Moskwę. Dość rzucić okiem na mapę Europy po upływie stu lat, aby ocenić, po urzeczywistnieniu trójcy podziałowej, ile proroczego jasnowidzenia tkwiło w pierwotnej szwedzko-francuskiej orientacji polityki Sobieskiego, zapoczątkowanej już przez Jana Kazimierza, co pierwszy ową trójcę przepowiedział. Lecz tak dalekie przewidywania nie mogły natchnąć zapałem rzeszy szlacheckiej, niedawno nawiedzanej najazdem szwedzkim, siedmiogrodzkim i tatarsko-tureckim. Przeciwnie, z pomysłem przymierza francuskiego kojarzyły się obawy planów absolutystycznych, odżywało niemiłe wspomnienie Ludwika Marii. Mądrze obmyślony plan działania na zewnątrz musiał ustąpić przed troską o bezpieczeństwo wewnętrzne, odkąd hegemonowie litewscy Pacowie, za podniętą intrygi obcej, głównie brandenburskiej, a w instynktownym porozumieniu ze znacznym odłamem opinii szlacheckiej, udaremniłi plan współdziałania ze Szwecją nad Bałtykiem. Sojusze antypruskie Jana III nie uzyskały ratyfikacji. Pozostała do wypróbowania inna polityka zewnętrzna, przystosowana do poglądów ludzi wczorajszych, a nie jutrzejszych, osnuta na wczorajszych obawach i nadziejach, i na wojackich nastrojach współczesnego pokolenia.

Z rachubami jaworowskimi tym lżej można było się rozstać, że Ludwik XIV, zawsze gotowy do wyzyskania zasobów Polski, nie myślał popierać żadnych prób wzmocnienia jej rządu na przyszłość, a Jan Sobieski potrzebę takiego wzmocnienia pojmował doskonale. Natomiast dużo energii czynnej można było wywiązać z powszechnej po Chocimie tęsknoty do wielkiego zwycięstwa nad głównym wrogiem chrześcijaństwa, z religijnego podniecenia narodu, z pragnienia realnego odwetu za traktat buczacki, z wyrobionej niedawno dzielności

rycerstwa. Na południe, za Dunaj i za morze Czarne, aż nad Jordan, na nowy chrzest plemion słowiańskich we krwi bisurmańskiej, wskazywał drogę najzdolniejszy poeta narodowa „wieszczym napełniony duchem«, Wacław Potocki. Z większą jeszcze siłą pociągającą, bo we właściwym momencie dziejowym (1683), wołał króla głos narodu przez usta innego śpiewaka wysokiego natchnienia, Wespazjana Kochowskiego, wołał pod stolicę cesarską Wiedeń, „gdzie ognie gęsto się po przestronnych majdanach błyszczą”, gdzie „grzmi ziemia i po bliskich lasach echo się rozlega od huku dział, do miasta zdesperowanego bijących”, skąd „widać i wyciągnięte oblężyców ręce nieodwłocznego zebrzących...ratunku”.

Nie słuchać takich wezwań, połączonych z błaganiami papieża i cesarza rzymskiego, było niepodobieństwem. Sobieski poszedł, spojrział – i „Bóg zwyciężył”. Potęga turecka legła w gruzach.

Chrześcijaństwo zostało ocalone od półksiężyca, ale nie od pogańskich dzieł tych późniejszych chrześcijan, co odpłacili Polsce rozbiorem. Tymczasem nie ustawali w kreciej robocie wrogowie wewnętrzni. Połowę sejmów zerwano. Najłżejsze oznaki dążenia do reformy spotykano oskarżeniem „tyrana Tyberjusza” o absolutum dominium. Magnaci nie wybaczyli nigdy drugorzędnemu panu, że ich wyprzedził. Rozkiełznana szlachta szukała służby u magnatów. Odwracano ostrzem przeciwko Janowi III całą jego przeszłość marszałkowską i hetmańską. Sobieski, który sam niegdyś tykał pieniędzy zagranicznych i położył swój podpis pod spiskiem detronizacyjnym 1672 r., poczuł jeszcze przed Wiedniem głuchy szmer podziemnych knoń Dymitra Wiśniowieckiego, Grzymułtowskiego, Paców i wielu innych: wtedy to szukał ocalenia w popularnej polityce przeciw tureckiej. W r. 1683 musiał ukarać towarzysza młodości, Andrzeja Morsztyna, co nie zdążył,

czy nie chciał wykonać nawrotu razem z dworem; po kilku bezskutecznych wyprawach na Wołoszczyznę i pod Kamieniec, w latach 1687–8 stronnicy austriaccy do spółki z innymi, niezależnymi panami, reprezentanci najszlachetniejszych w Rzeczypospolitej imion Lubomirskich, Zamoyskich, Sapiehów, Potockich, Wielopolskich, Pieniżków, Załuskich, uknuli nowy spisek celem udaremnienia sukcesji Sobieskich, choćby siłą zbrojną, choćby nawet z pomocą Wiednia. A i ten spisek nie miał być ostatnim...

Siły opuszczały bohatera, wzrok mu się mroczył. „Czarna burza oczy mi zasłania!” – wołał w senacie po zerwanym sejmie r. 1681. „Musiał ten być w żalach dobrze wyćwiczony, który to powiedział, że małe frasunki gadają, a wielkie niemieją”, skarżył się po siedmiu latach i straszne z Biblii cytował proroctwo: „Jeszcze czterdzieści dni, a Niniwa upadnie”... Sam zresztą coraz głębiej zapadał się w grząskie bagno zwątpienia i etycznego sceptycyzmu. Już mniej znaczyła dlań sława, więcej dobro doczesne. Wciągnięty przez lichą małżonkę w pasmo poziomych zabiegów o mamonę, zubożniały wobec obojętnych rodaków, tracił wiarę w ideał panowania, stawał się na powrót przede wszystkim magnatem, dbałym o fortunę rodową. Osiadł na stały pobyt w Wilanowie. Pracował dla rodziny, choć czuł, że i dla niej nie warto pracować: gorsząca kłótnia między Marysieńką i królewiczem Jakóbem odbierała z uroku imię Sobieskich.

Stopniowo zapomniano w Europie o samotniku wilanowskim. Dokuczała mu od dawna chorobliwa otyłość. Dopóki mógł dosiadać bachmata i pędzić na czele znaku, nie dawał się zmóc słabości. Ostatecznie wywiązała się wyraźnie puchlina wodna. Od początku roku 1696 nie opuszczał łoża Sobieski. W połowie czerwca zaczął konać w strasznym żalu do świata, z piołunowym na ustach przekleństwem:

„Czyż nikt nie zechce pomścić mojej śmierci? Niech ogień spali ziemię, niech wół wszystkie wyżre łąki, po śmierci nic o to nie dbam”. Dnia 17 czerwca nastąpił atak apoplektyczny, po przebudzeniu pojednanie się z Bogiem, potem, wieczorem jeszcze jeden atak i zgon.

Władysław Konopczyński

Źródło: W. Konopczyński, *Od Sobieskiego do Kościuszki. Szkice, drobiazgi, fraszki historyczne*, Kraków 1921, s. 57–66.